

ANDREJ ADAMOWICZ



DZIEŃ POEZJI
ŚMIERCI DZIEŃ

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!



Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na
www.legalnakultura.pl

Andrej Adamowicz

Dzień poezji śmierci dzień

Andrzej Adamowicz

przełożył Bohdan Zadura

Dzień poezji śmierci dzień



WARSZTATY KULTURY

Lublin 2017

Dzień poezji

Czekając na bukoliczną elegię

Tatianie Niedbaj

Kiedy budzę się o brzasku,
brakuje mi czasu na to,
żeby dowiedzieć się, kto wygrał.
Kiedy zapalam swojego pierwszego papierosa,
brakuje mi powietrza na to,
żeby wpaść w kaszel.
Kiedy piję pierwszą poranną kawę,
nie wysypuję cukru,
bo drżą mi ręce.

Jednak to nieistotne.
Jednak.
Jednak.
Jednak nieistotne.

Kiedy idę za dnia skoszonym polem,
brakuje mi asfaltu na to,
żeby zobaczyć, jak gotuje się powietrze.
Kiedy patrzę na obłoki,
brakuje mi ostrych surowych form,
żeby oderwać się od swoich myśli.
Kiedy stoję przed drzewem,
to czekam na kilka kropel deszczu,
bo nudno mi w samotności.

Jednak to nieistotne.
Jednak.
Jednak.
Jednak nieistotne.

Kiedy czuję palce wiatru na skórze,
nie starcza mi poczucia humoru,
żeby Boreaszowi ogłosić encyklikę.
Kiedy łapię słońce za włosy,
nie starcza mi szybkości w myślach,
żeby spleść solarne teksty.
Kiedy wchodzę w wodę przepięknego jeziora,
to nie pływam długo,
bo przeciąganie czegokolwiek nie ma sensu.

Jednak to nieistotne.

Jednak.

Jednak.

Jednak nieistotne.

Kiedy siadam za stół,
brakuje mi wytrwałości,
żeby zjeść cały obiad.
Kiedy chłopci zbierają siano,
nie wystarcza mi słów, żeby opisać,
jak koń w zębach trzyma suchą trawę.
Kiedy słyszę przyjaciela,
patrzę mu w oczy,
bo myśli moje są daleko.

Jednak to nieistotne.

Jednak.

Jednak.

Jednak nieistotne.

Kiedy biorę do ręki książkę,
nie starcza mi uwagi na to,
żeby zrozumieć, że kartki i farba – to literatura.
Kiedy zabijam komara na swojej szyi,
nie wystarcza mi współczucia,
żeby nie rozmazać go od ucha do podbródka.
Kiedy widzę, jak dziewczyny idą wzdłuż jeziora,

to odwracam się szybko,
bo nie chcę być śmieszny.

Jednak to nieistotne.

Jednak.

Jednak.

Jednak nieistotne.

Kiedy biorę do ręki pióro,
nie wystarcza mi woli,
żeby sięgnąć do notesu.

Kiedy widzę, jak słońce zachodzi na zachodzie,
nie wystarcza mi fantazji i natchnienia,
żeby wyobrazić sobie, że jutro wstanie na wschodzie.

Kiedy zaczyna mrugać pierwsza gwiazda,
zapalam swego dwudziestego papierosa,
bo przyjemnie jest być podobnym do Demiurga.

Jednak to nieistotne.

Jednak.

Jednak.

Jednak nieistotne.

Kiedy zasypiam w swoim łóżku,
nie wystarcza mi twoich drzeń,
żeby poczuć ostrość bytu.

Jednak.

Kontrapunkty

Tysiącem źrenic śledzić twoich ruchów
nie będę jak Argus, którego oczy to gwiazdy,
nie jestem szefem CIA ani dyrektorem Mosadu.
Lepiej skromnie zdechnę na kupie gnoju,
jak nie mniej znakomity pies.
Szkoda tylko, że nie doczekam
twojego przyjścia.

Współbrzmieniem tysiąca nut twoich uszu laskotać
nie będę jak Janko, którego dusza to skrzypce,
Trzeba było się uczyć, a ja nie wiedziałem.
Lepiej na przekór Jego woli odpełnę i ukryję się w kamieniach
pod obserwacją Anny, ku jej zdziwieniu.
Szkoda tylko, że nie doczekam
twojego przyjścia.

Plakać, nekrotyzować neuronów, wołać Klio
nie będę jak James (nie podwójne zero, a jedynka).
Tutaj trzeba talentu, innego charakteru.
Lepiej odpłynę daleko do wilgotnych krajów,
tam zjedzą mnie w szczerym połu.
(Ten wiersz to zaproszenie na kolację.)
Szkoda tylko, że nie doczekam
twojego przyjścia.

Nie budźcie jej

Może jej się śni
deszcz, nasza droga do morza
i czuje straszliwe piękno
albo obecność czarnego drozda
i nie wie, jak go zobaczyć.

Może jej się śni
dalekie pole wśród starego lasu,
wyrzwał i ostatnie zabójstwo
czarnego wielkiego ptaka,
którego obecność zwiastuje zło.

Może jej się śni
troje powieszonych przy wiejskiej drodze
i mogiły, krypta, która znika pod ziemią,
żmija, która wpełza na jablonkę
pod wpływem stereotypów.

Może jej się śnią
książki, które spłonęły w Aleksandrii,
książki, które nie poszły do druku,
nieznane wiersze Kawafisa,
coś, co opuszczono przy przekładzie Platona,
coś na tyle prostego,
że nawet nie przypomina aforyzmu.

Może jej się śnią
domy, których szczyty giną w chmurach,
budowle kraju, gdzie nikt na nią nie czeka,
oprócz jednego chłopaka, ale i tego
nie jest pewna, że jej nie zapomniał.

Może jej się śni
i we śnie dobiera rymy do słów,
które nie mówią jej nic:
i we śnie szuka podobieństwa
między mandalą a wolą życia,
między ciekłym azotem a orchideą,
między liczbą siedem a pochodami Gotów.

Może jej się śnią
nasze twarze i ręce kogoś,
kogo widziała dzisiaj w sklepie
(dziwi obecność oczu lub paznokci),
wzór na podłodze albo na tapetach,
taki zwyczajny,
że sen przechodzi w następną fazę.

Może jej się śni
kwiatek albo fabryczny komin,
anioł albo sługa diabła,
milicjant albo negocjator,
i to słowo nie mówi jej nic.

Może jej się śnią
kubki z kawą i obok worek z cukrem,
resztki kredy i czysta szkolna tablica,
Murzyn, który usta otworzył,
Murzyn, który usta zamknął i stał się lekarzem.

Może jej się śnią
szyny, po których będą stukać koła,
po których będą wieźć ją do domu,
dalekiego jak gwiazda północna,
jasna, jak górny kolor tęczy,
niezawodna, jak słowa koronowanej osoby,
dalekiej, jak liczba siedem.

Może jej śni się
powietrze, okręcone drutem,
i ziemia za kratami,
w podwórzu kogut, który pieje
drugi raz.
W oknie gorący górski wiatr.
Troje. Lilit. I pieczony kogut.